



Piotr Kępski

Single



Single

Single

Piotr Kępski

Jirafa Roja
Warszawa 2009

© Copyright by Piotr Kępski, 2009

© Copyright by Jirafa Roja, 2009

Na okładce wykorzystano obraz Pavla Šlejhara „Lot”

Redakcja i korekta: Sylwia Mroczek-Zawadzka

Projekt okładki: Tatsu 

Zdjęcie autora: Jana Kępska

Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl

ISBN 978-83-62948-53-6

www.jirafaroja.pl

Wydanie I

Warszawa 2009



Londyn

PRELUDIUM

Była piąta czterdzieści rano. Jakub stał przy oknie i patrzył, jak osiedle powoli budzi się do życia. Asfaltową alejką, która wiała się między blokami, sunęli od czasu do czasu pojedynczy przechodnie o twarzach zamazanych szarzyną poranka. Na rozległym placu porośniętym trawą i otoczonym półkołem drzew pojawiło się dwoje starszych ludzi z psami, które urządały sobie gonitwy. Mały biały kundel zapalczywie ujadł cienkim głosem.

Jakub nieraz zastanawiał się, skąd tyle psów w tym mieście, i dlaczego ich właściciele wyprowadzają je na spacer tak wcześnie, kiedy inni ludzie jeszcze śpią. Dopiero teraz (nie spał mniej więcej od pół godziny, zbudził go ból w prawym obojczyku), patrząc na siwe głowy obojga starszych ludzi, ich lekko przygarbione plecy i powolny chód, uświadomił sobie, że psy stanowiły dla nich coś w rodzaju pretekstu, który usprawiedliwiał ich samotność i bezsenność, wypełniał pustkę budzącego się kolejnego dnia i pozwalał opuścić betonową klatkę mieszkania. Ludzie zawsze potrzebują jakichś egzystencjalnych alibi, pomyślał, szczególnie kiedy są samotni. Dla niego takim alibi było wymyślanie i spisywanie historii, których poza nim i kilkoma może osobami nikt nie czytał.

Wykonał kilka wymachów i obrotów prawą ręką, żeby ją rozruszać. Po wypadku obojczyk i ręka pobołewały go jeszcze. Najwyraźniej rehabilitacja trwała za krótko, a on sam powinien

więcej ćwiczyć, może nawet powinien zacząć chodzić na basen, tak jak radziła mu pielęgniarka Marta. Tylko że nie miał kiedy robić tego wszystkiego. Praca w biurze podróży, pisanie i spotkania z Martą wypełniały mu cały czas, jakim dysponował. To dziwne, jak niewiele czynności można zmieścić w jednym życiu, pomyślał Jakub i lekko skrzywił się pod wpływem bólu.

Gdyby nie przypadkowy wypadek, nie złamałby obojczyka i nie przeleżałby kilku tygodni w szpitalu. Gdyby nie wypadek, nie poznałby pielęgniarki Marty. Gdyby nie wypadek, jego powieść byłaby gotowa i miała zupełnie inne zakończenie (i początek, bo początki zwykle pisze się na końcu).

To niesamowite, jak przypadkowe zdarzenia mogą zaburzyć rytm naszego życia. Niczym małe dziecko, które wchodzi do otwartego pokoju, zabawia się wszystkimi przedmiotami będącymi w zasięgu ręki, po czym porzuca je w bezładzie.

Czyżby wydarzenia ostatnich tygodni były czymś w rodzaju tajnego szyfru, który skrywa jakąś wiadomość dla mnie? Jakub podrapał się po nieogolonym policzku. Gdyby nawet, to i tak nie mam klucza, który pozwoliłby mi odczytać przekaz od ukrytego nadawcy, pomyślał odwracając się od okna i kierując się w stronę regału z książkami. Schylił się i sięgnął po jedną z nich. Na jej sfatygowanej, wytartej okładce widniały dwa słowa wydrukowane białymi kapitalikami na kiczowatym zielonkawo-niebieskim tle: KUNDERA, a pod spodem: ŻART.

Przekartkował pośpiesznie początek. Zbliżając się do środka, coraz uważniej przeglądał tekst. W końcu znalazł fragment zaznaczony ołówkiem.

Czyżby przypadki, poza tym, że się zdarzają, że istnieją — również coś mówiły? Nie muszę chyba podkreślać, że jestem na wskroś racjonalistą. Ale widocznie zostało we mnie coś z irracjonalnych zabobonów, choćby na przykład owo dziwne

*przeświadczenie, że wszystkie zdarzenia, które mnie w życiu spotykają, mają ponadto jakiś sens, że coś znaczą; że poprzez te wydarzenia życie mówi coś o sobie, że stopniowo zdradza nam jakąś swoją tajemnicę... (Przeskoczył wzrokiem o kilka linijek dalej). Że to złudzenie? Tak, być może, to nawet prawdopodobne, ale nie mogę wyzbyć się owej potrzeby wiecznego rozwiązywania swego własnego życia (jakby rzeczywiście był w nim ukryty jakiś sens, jakieś znaczenie, jakaś prawda), nie mogę wyzbyć się tej potrzeby, jeśli nawet jest to jedynie potrzeba zabawy (tak samo jak zabawą jest rozwiązywanie rebusów).**

Pomyślał, że te słowa mogłyby być mottem historii, którą pisze. Wcześniej wybrał co prawda fragment z innej książki, ale zawirowania ostatnich tygodni zmieniły sens tego, co chciał powiedzieć. Podczas pobytu w szpitalu, kiedy leżał unieruchomiony na łóżku, wpatrując się w biały sufit, na nowo przeżywał całą powieść.

Wyglądało to tak, jakby autor i postaci z jego tekstu żyli w przedziwnej symbiozie, tworząc coś w rodzaju skomplikowanego systemu naczyń połączonych. Najpierw wypadek samochodowy wprowadził zamieszanie w życiu autora, a potem ten chaos przeniósł się na losy Marty Cichej, Filipa Romera i innych osób uwikłanych w fabułę powieści. Najwyraźniej los spletał Jakubowi figla, wprowadził turbulencje w dwóch światach: realnym i książkowym. Wcześniej nie było tego w planach. Czy był to los, czy przypadek, zastanawiał się Jakub. A może był to przypadek, czyli los?

* Milan Kundera, *Żart*, przełożyła Emilia Witwicka.

Sen

1.

Ostatnie spojrzenie na zegarek. 00:12. Niedługo potem zasnąłem. Miałem dziwny sen.

Lecę samolotem. Siedzę w fotelu i czytam gazetę. Ot, tak, żeby zabić czas. Mój wzrok trafia na rubrykę z nekrologami. Zwykle ich nie czytam. Z całym szacunkiem, szkoda czasu. Przecież pracuję, jestem zabiegany, nie mam głowy do takich rzeczy. W kalendarzu mam zapisaną listę pilnych spraw do załatwienia. Nie jestem grabarzem ani specjalistą od spadków.

Jednak we śnie zacząłem przeglądać nekrologi. Cała litania nazwisk, pochlebnych epitetów i zasług. *Nasz najukochańszy, nieoceniony, zasłużony, wieloletni* i tak dalej. Jakby dopiero pośmiertnie ludzie odważali się dobrze pisać o innych. W sumie to żałosne i smutne.

Chciałem odłożyć gazetę. I wtedy mój wzrok padł na...

Nie, to niemożliwe...

Przeczytałem jeszcze raz. Nie uwierzyłbym, gdybym nie widział tego na własne oczy. Nekrolog Filipa Romera. Coś tam, coś tam... *odszedł nasz drogi...*

— Co za bzdury? — mruknąłem. — Żarty sobie robią? Przecież to ja jestem Filip Romer!

Nawet wiek się zgadza. *Żył lat 35...* Bardzo dziwne uczucie. Czytać swój nekrolog, siedząc w samolocie.

Jak to możliwe? Głupi dowcip? Przypadek? Zbieżność nazwisk? Ale dlaczego on ma dokładnie tyle lat, co ja?

Nie wiedziałem, jak się zachować. Śmiać się? Manifestować hałaśliwie swoją obecność? Wezwać stewardesę? Zamachać jej ręką przed oczami i powiedzieć: halo, przepraszam, czy pani mnie widzi? Czy może pani potwierdzić, że jestem?

A może sprawdzić w paszporcie?

Gorączkowo szukałem jakiegoś dowodu na to, co wydaje się tak oczywiste.

— Ale przecież jestem! — powiedziałem na głos. — Jestem! — wykrzyknąłem, tak jak to robią dzieci w szkole w czasie odczytywania listy obecności.

— Przepraszam, czy dobrze się pan czuje? — spytała z troską w głosie starsza kobieta, która siedziała obok.

— Tylko niech mi pani nie mówi, że mnie nie ma!

Spojrzała na mnie jak na wariata.

— Jestem! Jestem! — powtórzyłem kilka razy, nie zwracając uwagi na to, co pomyśli sobie starsza pani i inni ludzie. Słyszałem własny głos i to mnie uspokoiło.

Współpasażerowie patrzyli na mnie z mieszaniną współczucia i podejrzliwości. Wariat? Co mu się stało? Miejmy nadzieję, że nie jest groźny dla otoczenia.

2.

Potem był inny sen. Słuchałem długiego monologu mojego ojca. Kiedy się obudziłem, nie pamiętałem, o czym mówił. Zostały mi w głowie tylko dwa zdania:

— Nie mogłem dłużej czekać — powiedział. — Zgłosiłem jej zaginięcie na policję.

Policja.

To słowo sprawia, że otwieram oczy. Budzę się w nieswoim łóżku. W obcym pokoju. Którego dzisiaj mamy? Gdzie jestem? Zza drzwi dobiegają odgłosy radia. W obcym języku. Słyszę, jak ktoś przesuwa krzesło w kuchni. Marta, przychodzi mi do głowy... I wszystko nagle układa się w pewną całość. Dawno powinienes przyzwyczać się do tego łóżka. I do ciasnego, chłodnego pokoju, zacienionego gałęziami kasztanowca za oknem. Od miesiący płacisz czynsz za to mieszkanie, słuchasz angielskiego radia, śpisz w starym, przywiezionym chyba ze szpitala, łóżku z metalową poręczą i skrzypiącymi sprężynami, wpatrujesz się w biały sufit, kiedy nie możesz zasnąć. Skoro mówisz, że ciągle czujesz się tu obco, dlaczego nie wrócisz tam, skąd przyjechałeś? Po co tu jesteś? Na co liczysz? Chyba nie na magiczną moc słabnącego funta.

Gdyby usłyszał to mój ojciec, powiedziałby pewnie:

— Wracaj do domu, bądź patriotą

Patriotyzm. To piękne, wyświechtane słowo. Za czasów młodości mojego ojca było jeszcze w modzie. Wtedy wszystko było patriotycznym obowiązkiem. Praca dla socjalistycznej ojczyzny, realizacja stu dwudziestu procent planu. Sprzątanie osiedla w czynie społecznym. Nawet rodzenie dzieci. Żeby dać krajowi więcej młodych, zdrowych, silnych obywateli, którzy będą wydobywać z ziemi piękny, brudny węgiel, śpiewać piękne, czyste piosenki o pokoju i budować piękne, niszczycielskie czołgi, które obronią nas przed imperialistami z Zachodu.

Co za ironia, że ja, urodzony w tamtym komunistycznym raj, po latach jadę zebrać o byle jaką pracę u dawnych wyzyskiwaczy, zachodnich imperialistów, którzy stali się naszymi braćmi we wspólnej Europie. Od dziesięciu miesięcy sprzątam kible, myję podłogi, okna, wanny i kafelki w łazience i ślinię się na myśl o zatrutych, słodkich funtach, które co miesiąc ładują na moim koncie.

Kto mógł to przewidzieć dwadzieścia pięć lat temu? Czy to naprawdę aż tak dużo czasu, żeby świat wykonał tak nieprawdopodobną wolte?

Kto się zabawia naszym życiem, kto się zabawia losami całych narodów? Historia? Bóg? Przypadek?

3.

Minął rok, odkąd jej nie ma. Można powiedzieć, że to wystarczająco długo, żeby zapomnieć, nawet o bliskiej osobie. Otrząsnąć się jak pies, który wychodzi z zimnej wody.

A jednak ciągle jeszcze mi się śni. Powraca tamta chwila, kiedy ojciec powiedział:

— Nie mogłem dłużej czekać. Zgłosiłem jej zaginięcie na policję. (Przypomina mi się niedawny sen, monolog ojca, z którego zapamiętałem tylko te dwa zdania).

Jej zniknięcie nie pasowało do naszej banalnej codzienności, do naszego życia wypatroszonego z treści jak mrożona kura z wnętrzości. Dopóki była z nami, wszystko wydawało się znośne. Kiedy jej zabrakło, zaczęły mi przeszkadzać rzeczy, nad którymi wcześniej się nie zastanawiałem. Bezsens ciułania pieniędzy i popełniania drobnych codziennych grzeszków i czynności, które nie chcą się złożyć w żadną całość. Po co to robić, kiedy tych rzeczy i pieniędzy gromadzonych latami nie zabierzesz tam ze sobą? Ale co znaczy słowo „tam”? Czy jest w ogóle jakieś tam?

Ojciec zgłosił jej zaginięcie na policję. Czekaliśmy w napięciu. Tydzień, dwa, trzy. Minął miesiąc, pół roku. Ale nic się nie wyjaśniło. Tak jakby życie chciało nam pokazać całą naszą bezradność wobec faktów stwierdzanych w prostym zdaniu *Maria Romer zaginęła*.

— Do czego to podobne? — skarżył się ojciec — Nigdy mi czegoś takiego nie zrobiła! Coś się musiało stać.

Przyznałem mu rację. To do niej nie pasowało. Przez lata byłem świadkiem ich codziennego życia. Aż trudno uwierzyć, ale w tym czasie ani razu nie spóźniła się do domu. Dzień w dzień, tydzień w tydzień, miesiąc w miesiąc, rok w rok. Jak wzorowy uczeń, który nigdy nie sprawia kłopotów wychowawczych. Ile lat można być wzorowym uczniem? Męczące zajęcie. Ciągłe musisz się starać. Zaciskać zęby. I udawać bardzo dorosłego. Rób tylko to, czego od ciebie oczekują.

Codziennie przed piątą po południu czekała na męża z obiadem. Potem zmywała gary, prała, gotowała coś na następny dzień. W przerwie między spełnianiem świętych obowiązków kradła sobie chwilę na przyjemność przejrzenia kolorowej gazety. Potem znowu pogrążała się w wirze czynności, które nie mają końca i szczególnego sensu: mycie naczyń po kolacji, prasowanie, sprzątanie. Wieczorem przysypiała ze zmęczenia w fotelu przed telewizorem. Budziła się, ziewała, szła się umyć i spać. Następnego dnia trzeba do pracy. I tak bez końca...

W każdym z nas drzemie jakaś tęsknota, żeby uwolnić się od tych niezliczonych szablonów, ról i obowiązków, do których tresują nas od dziecka. Rób to, a tego nie! Uważaj! Pamiętaj! Umyj ręce po jedzeniu! Powiedz dziękuję! Ale nie mów z pełną buzią! Musisz mieć dobre maniery! Nie śmieć się tak głośno, bo nie wypada! Pokaż, czy umyłeś zęby! Wierzymy w ciebie! Daj z siebie więcej!

Po latach treningu posłuszeństwo wchodzi w krew. Człowiek staje się dobrze wytresowanym zwierzęciem. Jak tygrys w cyrku, który skacze przez idiotyczne obręcze z ogniem, bo tak go nauczyle, chociaż sam z siebie nigdy by na to nie wpadł. Czy cyrkowa maskotka, którą treser głaszcze na oczach publiczności, może w ogóle chcieć uciec z klatki?

Dobre pytanie.

Życie z zegarkiem w ręku zamknięte w klatce punktualności. Zaplanowane od A do Z. Wypełnione bardzo praktycznymi czynnościami. Wyłącznie praktycznymi czynnościami,

które nie dają przyjemności, ale dają szacunek, pieniądze, stabilizację. A nade wszystko — poczucie bezpieczeństwa.

Jak długo tak można?

Cóż, można mówić, że ma się tego dość i potrzebuje się zmiany. Można powtarzać, że marzy się o tym, żeby poluzować sobie przyciasny gorset codzienności. Można mówić, że ma się po dziurki w nosie pracy, męża, rodziny, obowiązków i tego wszystkiego, co się składa na nasze powszednie życie. Można nawet grozić, że się odejdzie z pracy, od męża, od rodziny, porzuci obowiązki i zrobi szlus z tym wszystkim, co się składa na nasze powszednie życie. Można tak mówić, a mimo to nadal chodzić do pracy, spać z mężem, mieć rodzinę, wypełniać skrupulatnie swoje obowiązki i wszystko znosić.

Nawiasem mówiąc na to właśnie liczą nasi szefowie, mężowie, żony, dzieci i wszyscy, którym na rękę jest nasza cierpliwość, obowiązkowość i skrupulatność. Szczerze mówiąc, wszyscy na to liczymy. Bez tego nasze społeczeństwo utonąłoby w chaosie.

4.

Policjanci podeszli do zgłoszenia zaginięcia Marii Romer chłodno, bez emocji.

Oznajmili ojcu, że osiemdziesiąt procent zaginięć członków rodziny wyjaśnia się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Nie wiedziałem, co właściwie chcą przez to powiedzieć. Chyba miało to być coś w rodzaju pocieszenia. Powiedzieli też, że co roku w naszym kraju ginie bez śladu kilkanaście tysięcy osób. To tak jakby z powierzchni ziemi zniknęło miasteczko porównywalne z naszym.

— Niestety (policjant użył tego słowa) może się przydarzyć każdemu.

Każdemu, to znaczy nikomu, przyszło mi na myśl. Bo każdy ma nadzieję, że jego to ominie.

Według relacji ojca policjanci sprawiali wrażenie ludzi, których nic nie może wyprowadzić z równowagi. Niczemu się nie dziwili. Zadawali tylko fachowe pytania. Dużo pytań. Od czasu do czasu robili krótkie notatki.

— Może wyjechała do rodziny?”

— Czy pytał pan o nią w szpitalu?

— Pytał pan znajomych, czy ktoś z nich widział wczoraj pana żonę?

— Może zwierzała się z jakichś problemów?

— Czy sąsiedzi niczego nie zauważyli?

— A koleżanki z pracy?

— Czy pana żona nie zostawiła wiadomości, że zamierza gdzieś wyjechać?

— Żadnego listu?

— Czy nigdy wcześniej nie zniknęła w podobny sposób?

— Czy nie miała kłopotów z pamięcią?

— Czy nie leczyła się psychiatrycznie?

— Czy nie nadużywała alkoholu albo środków odurzających?

— Czy nie zauważył pan ostatnio czegoś nietypowego w jej zachowaniu?

— A może ktoś jej groził?

— Czy nie miała jakichś poważniejszych problemów? Albo konfliktów w pracy?

— Czy podejrzewa pan, że ktoś mógłby chcieć ją porwać?

— Kto ostatni widział pana żonę?

— Kiedy i gdzie to było?

— Proszę podać rysopis żony.

— Ma pan może jakieś jej zdjęcie?

— W co była ubrana, kiedy widział ją pan po raz ostatni?

Lista pytań była długa.

Ojciec nie był pewien, czy wszystkie zapamiętał. W każdym razie starał się mi je potem drobiazgowo zreferować. A ja zacząłem się bać.

Dotarło do mnie coś, nad czym nigdy wcześniej się nie zastanawiałem. Świat jest jak wielkie, żyjące własnym rytmem obce miasto, w którym znasz tylko kilka, może kilkanaście głównych ulic. Siedem miliardów ludzi, z których znasz osobiście zaledwie garstkę. Wszystko inne to obca, obojętna masa, której nie jesteś w stanie ogarnąć i która nie ma pojęcia o twoim istnieniu. Nietrudno się w tym zgubić. Ta myśl ponownie dopadła mnie po kilku miesiącach, kiedy znalazłem się tutaj, w wielkim, obcym mieście. Jak nazwać ten stan? Dezorientacja? Poczucie znikomości? Zagubienie?

Stałem na West Green Road, niedaleko stacji metra Seven Sisters. Obok mnie przepływała obojętna, kolorowa, wielojęzyczna ludzka masa, zapatrzona w siebie, zmierzająca dokądś, niezwracająca uwagi na nic i nikogo, kto nie przynależy do niej. A ja stałem z boku i czułem się jak kamień na chodniku, jak uczeń, który przychodzi do nowej szkoły po przeprowadzce z obcego miasta. Potrącany, ignorowany, zepchnięty na margines.

Gdzie jest ten piękny, otwarty na świat Londyn, pytałem siebie, bo przecież muszą być w tym mieście wspaniałe miejsca. Tyle że ja nie przyjechałem tu jako turysta, żeby podziwiać zabytki kosmopolitycznej metropolii. Przybyłem jako jeszcze jeden wschodnioeuropejski ochotnik powiększający armię taniej siły roboczej. Dość szybko zrozumiałem, że mimo skończonych studiów dla tubylców jestem tylko kolejnym napływowym półanalfabetą, któremu wydaje się, że zna angielski. Co z tego, że mogłem się pochwalić papierowymi certyfikatami zaświadczającymi o znajomości tego języka, kiedy każdy, rozmawiając ze mną przez pół minuty mógł poznać, że nie jestem stąd.

Pierwszego dnia nie skierowałem swoich kroków na Trafalgar Square, nie spacerowałem nadbrzeżnym bulwarem wzdłuż Tamizy, żeby patrzeć na dostojny gmach parlamentu, nie usiadłem na ławce w Hyde Parku. Z mapą w rękę i z bijącym sercem poszedłem obejrzeć mieszkanie do wynajęcia, które poleciła Marcie jej koleżanka Renata. Skręcając z West Green Road w boczną uliczkę, która wydała mi się dość obskurna (i przez to podejrzanie znajoma), gorączkowo próbowałem wyrobić sobie pogląd na temat landlorda oferującego mieszkanie do wynajęcia. Kim jest? Oszustem, który naciąga bezbronnych imigrantów takich jak ja? Pijawką i chciwcem, który wycisnie ze mnie ostatni grosz? Oskarży mnie, że mu zdewastowałem mieszkanie i nie odda kaucji. Albo po tygodniu zmieni zamki i wyrzuci mnie i Martę na ulicę. Nie wiem, skąd biorą się w człowieku te myśli. W moim kraju wszyscy przywykli do tego, że nikomu nie można ufać.

Czułem się podwójnie skrępowany. Nie dość, że gubiłem się w labiryncie obcych twarzy, nazw i ulic, które porażały mnie swoją obojętnością, to jeszcze męczyła mnie obawa przed tym, co powie Marta. Ona, tak delikatna i krucha, zagubiona w świecie, emigrantka we własnym kraju, gotowa będzie się załamać, kiedy zobaczy, że nasze wymarzone mieszkanie w Londynie jest starą norą w nieremontowanym domu.

Ale Marta zniosła to z podziwu godną pogodą ducha (zresztą mieszkanie okazało się nie tak złe). Powiedziała, że liczy się to, że zaczynamy nowy rozdział. I że jest daleko od domu, w którym zostały złe wspomnienia.

Wyjęła z walizki butelkę białego wina i, siląc się na beztroski ton głosu, powiedziała:

— Wypijmy za nasz nowy start. Bo przecież znajdziemy jakąś robotę, prawda?

Przytaknąłem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

To było szaleństwo. Szukać jej tu, w Londynie. Kiedy dziś na to patrzę, ogarnia mnie gorzki śmiech i zdziwienie nad bezmiarrem własnej głupoty. Wtedy nazywałem to optymizmem.

Nie wiem, kto pierwszy rzucił, że Maria Romer wyjechała do Londynu. Przecież ma tam rodzinę, mówiliśmy. „Rodzina”, słowo stępione jak stary nóż. W Londynie od wojny mieszkał legendarny brat ojca mamy, wuj Stefan. Legendarny nie dlatego, że dokonał jakichś wielkich czynów. Po prostu słyszałem o nim często w czasie rodzinnych spotkań, widziałem go (młodego jeszcze) na kilku wypływających, czarno-białych zdjęciach. Tyle razy mówiło się o jego magicznym majątku, którego się dorobił, że w końcu wuj Stefan stał się dla mnie kimś w rodzaju rzadkiego okazu ssaka trzymanego w zagranicznym ZOO. Jednak mama nie pojechała do Anglii, żeby go zobaczyć. Najpierw za komuny przez lata odmawiali jej paszportu, a potem, kiedy już posypała się żelazna kurtyna, bez reszty wciągnęła ją walka o przetrwanie w nowych, wspaniałych czasach.

Nie wiem, kto pierwszy zaszczerpił w nas tę złudną nadzieję, że Maria Romer jest w Londynie. Że wyjechała razem z drugą kobietą, która zaginęła w naszym mieście. Nie wiem, może to pani Lidia Kramer, jej koleżanka z pracy, zaczęła pierwsza. Mama zwierzała się jej z różnych drobiazgów. Kramerowa wiedziała o wuju Stefanie w Anglii. Ojciec zawsze powtarzał, że Kramerowa jest strasznie łasa na pieniądze. Może dlatego tak bardzo przemówiła do niej legenda o majątku wuja Stefana. Twierdziła, że mama chciała się nim zaopiekować na stare lata. I dorobić sobie w Anglii.

A my daliśmy się na to nabrać jak dzieci.

— Kto wie? — mówił ojciec — Może naprawdę tam pojechała?

— To całkiem prawdopodobne — wtórowałem mu.

Oczywiście nikt z nas nie pamiętał ani adresu, ani numeru telefonu wuja Stefana. Wiedzieliśmy tylko, że mieszka *gdzieś w Londynie*. I wydawało się, że nie ma nic prostszego niż go odnaleźć. Jakby Londyn był małą wioską, w której można obejść wszystkie domy w pół godziny.

To wszystko było szaleństwem, ale ojcu w końcu udało się znaleźć adres wuja Stefana. Napisaaliśmy do niego dwa listy. W tym jeden po angielsku. Na wypadek, gdyby zapomniał języka, w którym wyrastał. Ale na żaden list nie dostaliśmy odpowiedzi.

I wtedy powiedziałem, że tam pojadę. To były czcze deklaracje. A jednak, pod wpływem pewnych przypadkowych wydarzeń, te słowa zaczęły żyć własnym życiem. Coraz częściej myślałem o Londynie. Od pewnego czasu w firmie, w której pracowałem, wszystko zaczęło się psuć. Każdy się bał, że kolega z biurka obok donosi szefowi. I że lada dzień zaczną się wypowiedzenia. Byłem tym zmęczony. Czy warto się szarpać za te pieniądze, pytałem nieraz, nie mogąc zasnąć i mając w głowie nieprzetrawione resztki mijającego dnia. A gdybyś wyjechał? Masz tyle zaległego urlopu. Mógłbyś wziąć ze trzy tygodnie wolnego i wyjechać. Albo rzuć to, poszukaj sobie roboty w Londynie i zostań tam dłużej.

Nie wiem, jak to się dzieje, że przypadkiem chaotyczne dążenia, mgliste przeczucia i myśli zaczynają układać się w pewną całość. Jak puzzle, które przed wyjęciem z pudełka miały już gotowy wzór rozwiązania opisany w instrukcji. Któregoś dnia spotkałem Karola. Przyjechał na kilka dni z Anglii. Znalazł tam porządną pracę, nie żadną dirty job na zmywaku, i często bywał w kraju, głównie służbowo. Twierdził, że odpowiada mu taki układ i za żadne skarby nie przeprowadziłby się z powrotem tutaj. To słowo wymówił z ledwo uchwytną nutką pogardy, tak mi się wydało, zresztą może tylko takie odniosłem wrażenie, w końcu tamtego wieczoru wypiliśmy niejedną kolejkę. Kiedy zwierzyłem mu się, że mam dość mojej pracy, rutyny, mieszkania w małym, prowincjonalnym mia-

steczku, po prostu czuję, że znalazłem się w ślepej uliczce, Karol zaczął zachęcać mnie do wyjazdu. Obiecał, że pomoże mi urządzić się w Londynie.

Opowiedziałem o tym Marcie, a ona zamiast wybić mi to z głowy, ku mojemu zdumieniu oświadczyła, że chętnie pojedzie ze mną. I jest gotowa zostać w Londynie. Jak jej koleżanka Renata, która świetnie sobie radzi na emigracji.

— Niedługo wakacje. Będę mieć dużo wolnego czasu. Za dużo. Zawsze ciężko znoszę ten nadmiar swobody. A tak przynajmniej zobaczę Londyn. I sobie dorobię. Wyjedźmy na dłużej. Wynajmiemy mieszkanie, poszukamy pracy.

To tylko chwilowy zapal, który szybko minie, myślałem, słuchając Marty. Następnym razem, kiedy się spotkamy, nie będzie o niczym pamiętała. Ale ta myśl zapuściła w nas korzenie.

Marta przy każdej okazji opowiadała mi bajkowe historie z gazet. O ludziach, którzy po wyjeździe na Wyspy zaczynali od kelnerowania w knajpie, cierpliwie odkładali pieniądze, kończyli szkołę i znajdowali pracę, o jakiej tutaj by im się nie śniło. Dopiero tam stawali się architektami, grafikami, specjalistami od finansów. Kiedy akcentowała te słowa, miałem wrażenie, jakby chciała powiedzieć, że dopiero tam stali się ludźmi.

— Nagle zachciało ci się być specjalistą od finansów? — zapytałem któregoś razu.

— Nie, ale mogę tam robić inne rzeczy. Zresztą co mam do stracenia? W najgorszym razie zobaczę Londyn i przeżyję jakąś przygodę. To też się liczy. Nie można siedzieć całe życie w zabitdej dechami dziurze na prowincji. To strasznie nudne.

Dałem się na to złapać, bo przecież sam sobie wmawiałem, że męczy mnie to nudne, drobnomieszczańskie życie i praca w biurze obsługi klienta. Czas na przygodę, mówiłem sobie jak chłopak, który przeczytał *Przygody Tomka Sawyera*. Tylko, że ten chłopak od dawna nie był już dzieckiem.

Sześćdziesiąt sześć i pół

1.

Zabrać ją do Londynu? Jak zwykle męczyły mnie idiotyczne dylematy. Po co? Żeby się ośmieszyć, kiedy celnicy zaczną mi grzebać w walizce? Po co wwozi pani do Zjednoczonego Królestwa wagę łazienkową? Co w niej pani ukrywa? Czy nie jest to przypadkiem próba przemytu? Wagę łazienkową można kupić gdziekolwiek, po co ją taszczyć ze sobą aż do Londynu? Ale dlaczego miałabym kupować jeszcze jedną wagę? Nie lepiej zabrać tę, którą mam? Nie powinnam szastać pie-niędźmi, przynajmniej dopóki nie znajdę pracy.

Owinęłam wagę w ręcznik i włożyłam do torby podróżnej. Ojciec i tak jej nie będzie potrzebował. A ja bez niej czułabym się jak alkoholiczka na odwyku.

Każdy dzień zaczynam tak samo. Zamykam się w łazience. Nie, nie tapetuję twarzy pudrem, korektorem ani mejkapem, nie lakieruję włosów i nie nakręcam ich na lokówkę, jak robią to inne kobiety. Te banalne czynności obliczone na to, żeby się przypodobać mężczyznom, nie pociągają mnie. Jak zwykle muszę być inna, oryginalna.

No więc mój dzień zaczynam od tego, że zamykam się w łazience, zdejmuję kapcie i stoję na wadze. Wstrzymuję oddech i zamykam oczy. Jak desperatka, która stoi na dachu wieżowca i boi się spojrzeć w dół.

W końcu zbieram się na odwagę i patrzę na licznik. Nie, to niemożliwe... Schodzę z wagi, liczę do trzech i próbuję jeszcze raz. Wskazówka tańczy w lewo, potem w prawo i zatrzymuje się w tym samym miejscu. Sześćdziesiąt sześć i pół. Zdejmuję koszulę nocną, ale to niewiele zmienia. Najwyraźniej naprawdę tyle ważę.

Jestem tak zestresowana, że od razu się pocę. Muszę iść pod prysznic. Starannie namydlam całe ciało żelem do kąpieli i długo spłukuję pianę. Potem smaruję się balsamem nawilżającym i owinięta w ręcznik myję zęby. Suszę włosy. Znowu się ważę (ciężko to samo). Wściekła ubieram się. I żeby się odstresować, jeszcze raz myję zęby. Kiedy spoglądam na zegarek, okazuje się, że minęło dobrych czterdzieści pięć minut...

Przez lata zdążyłam przetestować dziesiątki wag łazienkowych. Mechanicznych i elektronicznych. Tych najzwyczajniejszych, z supermarketu, kupionych w promocji, i tych drogich, naszpikowanych elektroniką i dobieranych pod kolor nowych kafelków. Zaliczam te cholerne wagi jak seksoholiczka facetów. Jak alkoholiczka drinki. Jak narkomanka kolejne działki.

Witam, mam na imię Marta i jestem wagoholiczką...

Marzę, że któregoś dnia zdarzy się cud, który wszystko zmieni: mnie, moje ciało i moje obsesje. Ale wygląda na to, że albo cuda się nie zdarzają, albo ja jestem wyjątkowo ciężkim przypadkiem. W najbardziej dosłownym sensie. Z moją nadwagą i pokręconą duszą. Czy może być coś bardziej żałosnego niż trzydziestoletnia neurotyczka, amatorka naciąganych diet-cudów?

— Jaka neurotyczka? — powiedziała by moja matka. — NIE JESTEŚ NEUROTYCZKĄ, TYLKO ZWYCZAJNĄ WARIATKĄ.

Moja matka nie uznaje uczonych słów: neurotyzm, nerwica natręctw, kompulsywne kontrolowanie wagi ciała. To niezyciowe pojęcia. Matka zawsze lubiła nazywać rzeczy po imieniu:

— JESTEŚ WARIATKĄ! A DO TEGO JESTEŚ GRUBA!
— Jakby ona była chuda.

Na każdej terapii (byłam już chyba na czterech, nie licząc tych, które zaczęłam i szybko porzuciłam), kiedy dochodziłyśmy do tematu matka, zawsze wybuchałam płaczem. Nie potrafiłam nad tym zapanować. To nie był normalny płacz, tylko ryk, zanoszenie się szlochem, jakaś histeria. Mamo, dlaczego jesteś taka oschła? Dlaczego mnie odtrącasz, kiedy cię potrzebuję? Dlaczego nazywasz mnie wariatką? Mamo...

Nie, no kompletna idiotka ze mnie. Od miesięcy mieszkam w Londynie, półtora tysiąca kilometrów od rodziców albo i więcej, matki nie widziałam od roku, nie mam pojęcia, co się z nią dzieje (szuka jej policja), a mimo to ciągle patrzę na świat jej oczami.

Moja mama, mamusia, mamunia. Zawsze traktowała mnie jak dziesięcioletnią smarkulę, a potem dziwiła się, że jestem taka dziecinna i niesamodzielną.

— Kiedy ty wreszcie dorośniesz? — zrzędziła. — Kiedy zaczniesz być taka jak inne kobiety w twoim wieku? Twoje koleżanki z podstawówki mają już dzieci, rodzinę, a ty co? Czytasz tylko książki i zajmujesz się głupstwami. Marnujesz czas!

W końcu dawałam się sprowokować.

— Zobaczysz, któregoś dnia wyniosę się od ciebie! Wyjadę stąd. Wyemigruję, żeby żyć jak najdalej od ciebie!

— To się wyprowadź, jak ci się nie podoba! — słyszałam.

— Pewnie, że się wyprowadzę!

— A proszę bardzo! Wynieś się! Choćby dzisiaj. Nikt cię tu nie trzyma!

Ten argument, który nie był żadnym argumentem, kończył każdą naszą kłótnię. Game is over. Przyparta do muru nie miałam możliwości manewru. Bo gdzie się mogłam wyprowadzić? Z moją pensją nauczycielki nie było mnie stać na

wynajęcie mieszkania. Mogłabym wynająć jakiś kąt na spółkę z inną dziewczyną (o facetach nawet nie myślałam), ale nie chciałam mieszkać z obcymi ludźmi, którzy będą mnie krytykować, pouczać, wyśmiewać moje pasje i nazywać je dziwactwami. Miałam serdecznie dość instruktorów i dawców dobrych rad!

2.

Wieczorem przyszedłam ze spaceru. Nie było jej w domu, ale wiedziałam, że niedługo wróci. Staralam się tym nie przejmować. Myśl pozytywnie, powtarzałam sobie. Przecież mama jest dobra, ona chce najlepiej dla ciebie. Jak każda matka. Nie masz się czego bać. Nie nakręcaj się, Martuś. Mamusia jest kochana.

Staram się tak programować. Terapeutka mi poleciła. Nie wiem, czy to pomaga, ale przynajmniej się staram.

Wróciła, kiedy skończyłam się kąpać i na chwilę wyszłam do pokoju po czysty ręcznik. Byłam mokra i bosa, więc nie mogłam jej otworzyć. Usłyszałam tylko trzaśnięcie drzwiami. Groźne, ciężkie, naładowane złą energią. Owinęłam się w ręcznik i wyszłam do niej. Nawet na mnie nie spojrzała. Nie odezwała się ani słowem, nawet cześć. Jakby mnie w ogóle nie było. Poszłam za nią do kuchni, na paluszkach. Ostrożnie się uśmiechnęłam. A ona jak nie huknie:

— Co te światła tak wszędzie pozapalane?! Za małe racunki płacimy za prąd, czy co?

— Jak to wszędzie pozapalane? Gdzie?

— No, w twoim pokoju! I w łazience!

— Przed chwilą jeszcze tam byłam. Kąpałam się. Nie widzisz? — powiedziałam (smutna, bo co to za ochrzan, tak od drzwi, zamiast powitania).

— JA NIE WIEM, CZY TY SIĘ KĄPAŁAŚ, JA TYLKO WCHODZĘ I WIDZĘ, ŻE CIEBIE NIE MA, A ŚWIATŁA WSZĘDZIE POZAPALANE.

Nic już nie powiedziałam. Zawsze jest tak samo. Ona tylko widzi, że mnie nie ma a światła wszędzie pozapalane.

Czy aż tak trudno mnie zauważyć? Mnie z moim bujnym ciałem, które waży sześćdziesiąt sześć i pół kilo. Zawsze zdawało mi się, że nie sposób tego przeoczyć. Ale kto wie? Może ja rzeczywiście nie istnieję? Jestem tylko złudzeniem. Fata-morganą. Złym snem, który się przyśnił mojej matce. I prześladowuje ją od trzydziestu lat. Sama już nie wiem...

3.

W głębi duszy do końca nie wierzyłam, że się wyniosę od rodziców, że opuszczę moje małe, brzydkie miasteczko, że odważę się na wyjazd do Londynu. A jednak to zrobiłam.

Nikt mnie teraz nie pogania, kiedy rano zamykam się w łazience. Nie muszę się ukrywać przed rodzicami z moim wagoholizmem, przejadaniem się i nałogowym myciem zębów.

Filip powiedział, że jemu to nie przeszkadza. Zdążył się oswoić z moimi dziwactwami. Mamy niepisaną umowę, że na początku tygodnia przykleja na lodówce swój grafik z pracy, żebym wiedziała, w które dni nie zajmować rano łazienki. Na szczęście nie muszę zrywać się o świcie do roboty. Przynajmniej są jakieś plusy pracy w knajpie. W każdym razie zawsze, kiedy idę do łazienki, zabieram ze sobą zegarek. Staram się nie wystawiać cierpliwości Filipa na nadmierną próbę. Jest moim współlokatorem. I w pewnym sensie najlepszym przyjacielem (jeśli nie liczyć Chrisa). Chociaż ostatnio nasze relacje mocno się skomplikowały.

Jak zwykle wszystko za sprawą seksu. A raczej braku seksu.

Całymi miesiącami żyłam w celibacie, bez facetów, jak jakaś zakonnica, cnotliwa pustelniczka, a potem nagle w ciągu jednego dnia omal nie wylądowałam w łóżku z dwoma mężczyznami. To znaczy nie z dwoma na raz, ale... Powinnam chyba czuć się bardzo nowoczesna i pożądana, co najmniej jak jakaś Angelina Jolie, tylko że ja oczywiście znajduję w tym kolejny powód do samoudręki.

Słowo daję, byłam prawie gotowa ulec Chrisowi tamtego wieczoru (wynagrodziłam mu to zresztą innym razem), gdyby nie to, że znaleźliśmy się ledwie od miesiąca i gdyby nie to, że on jest żonaty. Wiem, jestem idiotką, mam staromodne, drobnomieszczańskie skrupuły. Inne dziewczyny znalazłyby w tym powód do odrobinę perwersyjnej uciechy, że poderwały żonatego przystojnego faceta i poszły z nim do łóżka po kilku randkach. Co z tego, że ma rodzinę? I po co ja go w ogóle o to pytałam? Przecież nie nosi obrączki. Mogłam się tym zadowolić. Ale jak zwykle byłam dociekliwa. A on, głupi, zaczął udawać szczerłość. Do dzisiaj nie wiem, czy faktycznie jest w separacji z żoną, czy dopiero zamierza o nią wystąpić, czy też cała ta separacja jest zwykłym alibi, którym Chris osładza sobie samotne wieczory w Londynie. Alibi, dzięki któremu może ułożyć sobie życie na noc lub na dwie z nowo poznaną dziewczyną i nie czuć z tego powodu przykrego śwędzenia ośrodków mózgowych zwanych sumieniem.

Pracując w barze, trudno nie być narażoną na konieczność spotykania ciągle nowych facetów. Nie ma co ukrywać, zwykle ich namolne, obleśne zaloty są koszmarem. Pijany klient z rumieńcami na gębie zionie ci w twarz alkoholem i przysuwa swój spocony brzuch możliwie najbliżej ciebie, a jego ręce i wzrok automatycznie ciążą ku twoim pośladkom i piersiom. Po kilku piwach im wszystkim wydaje się, że nagle wyprzystojnieli, stracili piętnaście lat

i ze dwadzieścia kilogramów i każdy z nich jest piękny jak David Beckham albo nowy Bond, a ty powinnaś natychmiast omdleć w ich objęciach i pójść z każdym z nich na całość, bo jesteś tylko emigrantką z Europy Wschodniej. W dodatku kelnerką w zwykłym barze, którego właścicielem jest pół-Hindus. W takich chwilach omdlewam, ale z obrzydzenia, kiedy chuchają na mnie przetrawionym siódmym piwskim. Mam nieodparte wrażenie, że ta dzielnica z jej małymi pubami, knajpami i wiecznie nienasyconymi klientami powinna się nazywać Seven Beers a nie Seven Sisters.

A jednak ciągle zdarzają się dni, które mnie zaskakują. I faceci.

Kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, wydało mi się, że nie pasuje do tej pijanej budy, w której niecichnący gwar ludzki miesza się z dudnieniem muzyki przy barze. Był jakiś taki... jak to nazwać? Szlachetny? W każdym razie ładny, niezniszczony jeszcze przez życie i alkohol. Cóż, taki mi się wydał z daleka. Czy to moja wina, że pierwsze wrażenie zawsze kłamie? Nie wiem, dlaczego pomyślałam, że jest cudzoziemcem, to znaczy nie Anglikiem. Może to z powodu pięknej ciemnozłotej opalenizny, która kontrastowała z jego blond włosami i oczami w kolorze blue. Trupia błądź wyspiarzy jest czymś normalnym przy tej koszmarnej pogodzie. Ale Chris wyglądał, jakby właśnie wrócił z wakacji na Majorce.

Podeszłam do niego i pochyliłam się lekko (akurat miałam na sobie moją czerwoną bluzkę z dekoltem — wiedziałam, że tam zajrzy). Spytałam, czego sobie życzy.

— One London Pride, please.

Wystarczyło go usłyszeć, żeby upewnić się, że jest cudzoziemcem. Za bardzo starał się poprawnie wymawiać każde słowo. Anglicy nigdy się nie starają i czasem trudno ich zrozumieć. Szczególnie, kiedy są po kilku głębszych.

Przyniosłam mu piwo, potem wziął jeszcze jedno. Nie wiedziałam, jak go zagadnąć, jak zrobić pierwszy krok, żeby to nie zostało odebrane jako mój pierwszy krok. Kiedy łamałam sobie głowę, lekko skinął w moją stronę. Podeszłam, a on powiedział, że chce zapłacić.

Jak zwykle cała moja zalotność uciekła mi w pięty. Uśmiechnęłam się sztucznie. Pewnie wziął to za idiotyczne szczerzenie zębów jeszcze jednej głupiej gęsi. Na pożegnanie życzyłam mu *have a nice day*. I poszedł sobie. Zostawił mnie, pełen obojętności, zajęty swoimi sprawami, jak oni wszyscy tutaj.

Dlatego zdziwiłam się, kiedy go zobaczyłam następnym razem, dwa dni później, a potem znowu. Czyżby mu się tu spodobało? A może ja mu się spodobałam? Nie, to chyba niemożliwe.

W końcu zagadnął mnie. Czy długo tu pracuję.

— Kilka miesięcy — powiedziałam.

— Pewnie studentka? — spytał.

Uśmiechnęłam się. Nie widzi moich zmarszczek, czy tylko udaje? Ale nie da się ukryć, że zrobiło mi się przyjemnie. Skończyłam studia prawie sześć lat temu, a on bierze mnie za studentkę.

Jak niewiele wystarczy, żeby uśpić czujność kobiety. Przez tyle lat skutecznie broniłam się przed facetami. Kiedy próbowali mnie podrywać, studziłam ich zapalą ironią, lodowatym spojrzeniem albo wymyślałam absolutnie nierealistyczne i nietrzymające się kupy wymówki. A teraz, tu na obcym terenie, dałam się podejść jak pierwsza lepsza dziewczynka z dyskoteki.

I tak się zaczęło. Mój wielki romans. Moje wielkie niespełnienie.

Z powodu tych pozapalanych świateł nie odezwała się do mnie do końca dnia. Jakby mnie naprawdę nie było. Jakbym była powietrzem. Obraziła się, czy co? Postanowiłam się tym nie przejmować. Naprawdę, bardzo chciałam się tym nie przejmować, tylko zająć się sobą, robić to, co i tak miałam w planach. Poczytam sobie i będzie fajnie.

Ale o dziewiętnastej trzydzieści zadzwoniła któraś z jej przyjaciółek i zaczęły się plotki. Głędziły o koleżankach z pracy, a ja siedziałam nad książką i przez zamknięte drzwi słyszałam, jak ona kręci się po całym mieszkaniu z telefonem w rękę, kursuje z dużego pokoju do przedpokoju, potem do kuchni i z powrotem. I chichocze jak nastolatka. I gada na cały głos do słuchawki.

Przez pół godziny ciągle czytałam jedną i tę samą stronę. Numer sto dwadzieścia trzy. I nie wiem, co tam było napisane. Pobilałam mój rekord w czytaniu ze zrozumieniem. Czy to już początek demencji? Teraz próbuję to obrócić w żart, ale wtedy byłam na nią wściekła. Byłam tak wkurzona, że zamiast spędzić miły wieczór w towarzystwie książki, zamknęłam się w kuchni i zaczęłam się obżerać. Czy to normalne, żeby zabierać się za jedzenie o dziewiątej wieczorem? I jeść przez całe trzy kwadranse?

Zaczęło się od zimnej krwistej wątróbki, której nawet nie podgrzałam. Nie miałam siły. Zresztą to był tylko mały kawałek. W lodówce były dwa ogórki kwaszone. Smakowały wybornie po tłustej wątróbce. Potem chciałam zmienić smak, więc zjadłam jogurt truskawkowy. No i dorwałam się do lodów waniliowych. Bueee, strasznie się przesłodziłam, więc zaczęłam szperać po garnkach stojących na kuchni. Co by tu jeszcze zjeść? Coś konkretnego. I błagam, tylko bez cukru! Już mnie skręcało od tych słodkości. Znalazłam trochę twardych, zimnych pyz, które od dwóch dni dogorywały na patelni. Matka

zawsze gotuje wszystkiego za dużo, w wielkich garach, a potem jedzenie stoi na kuchni, w lodówce, na balkonie i modli się do ciebie, błaga: zjedz mnie, zjedz, zanim się zepsuję. A i tak najczęściej w końcu je wyrzucamy, bo nikt już nie chce tego jeść. Ani matka, ani ojciec, ani ja. Przysięgam, nie mogłam patrzeć na te pyzy! Były nieświeże i ociekały tłuszczem. Ale musiałam coś zjeść, bo mnie mdliło po tych przeklętych lodach. No i stało się... Pożarłam jeszcze pyzy.

Wtedy dopiero zrobiło mi się niedobrze. Zaparzyłam sobie herbatkę miętową, żeby zabić tłusty smak pyz, po których mi się odbijało. A potem coś mnie podkuśiło, żeby jeszcze raz, ostatni raz otworzyć lodówkę. Na talerzyku w samym kącie środkowej półki leżał tatar. Uśmiechał się: nie miałabyś na mnie ochoty? Weź mnie! Weź na surowo! Krwiste mięso z cebulą i pieprzem. Moja matka uwielbia tatara. Kiedy patrzę, jak go wcina, wyobrażam sobie, jak świeża, spieniona, purpurowa krew ścieka jej kącikami ust jak wampirowi... Bu-ee, ohyda, surowe mięso! Wstrząsa mnie, kiedy przypomnę sobie ten smak.

Było mi potem niedobrze. Ale bardziej od żołądka cierpiało sumienie. Dlaczego jesz tak późno? I tak dużo? Spuśtoszyłaś całą lodówkę! Ty nie jesz, ty się obżerasz! Jesteś wstrętna! Beznadziejna! Wariatka jedna! Było mi ciężko, kiedy zasypiałam. Na żołądku i na duszy. Chciało mi się rzy... wymiotować.

Obudziłam się w nocy. Czułam się, jakbym się najadła kamieni. Byłam przepętniona i ociężała. Jak gęś tuczona na fermie drobiu. Wstałam i poszłam do łazienki. Nie zapaliłam światła, żeby nikogo nie obudzić. Uklękałam nad muszlą klozetową. Włożyłam dwa palce do gardła...

Odczekałam chwilę i zapaliłam światło, żeby posprzątać. Trochę to trwało. Potem zważyłam się (ciągle to samo). Umyłam zęby, żeby się pozbyć ohydneho smaku w ustach. Starałam się zachowywać tak cicho, jakby mnie w ogóle nie było.